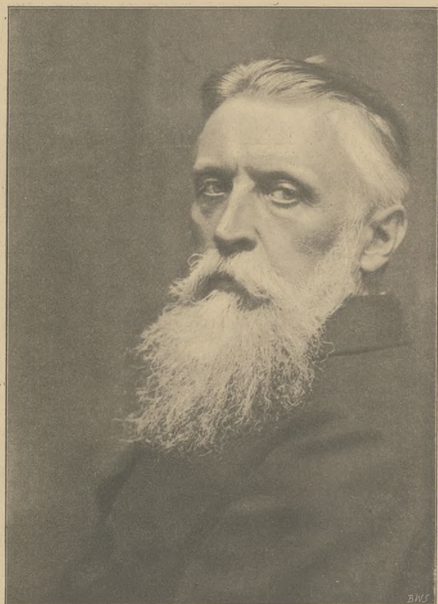
Nr. 41 (1448). Warszawa, 10 Października 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**



Poseł Prawdy.

„Mów, że opukawszy ziemię zbadałbyś, gdzie w niej tkwią źródła wulkanów i zdrojów, mów, że z krzemienia wyrabiałbyś gąbki, a z korka brzytwy, mów, że ze śniegu wyrzeźbiłbyś posągi, a marmury wydął w balony, ale nie mów, że zawsze i wszędzie bez narażenia się na niebezpieczeństwo kij nazwiesz kijem".

Był jednym z tych „którzy nieraz muszą pokutować za to, że się narodzili, że ich piersi chcą oddychać tym a nie innym powietrzem, że ich serce uderza silniej na ten a nie inny głos..." z tych, co, gdy pieśń w podwórzu zanucą, „wypędzają ich oskarżając, że zakłócają spokój, gdy usiądą przy drodze i zamyślą się, ktoś szarpnie ich za ramię i pogrozi „ostrożnie z marzeniami!" a gdy „nie pragnąc więcej od jaskółki" „przypną gniazdo pod ulubioną strzechę..." „szkodnicy gniazdo tykami rozdrapią", a myśliwy do nich dla nabrania wprawy strzela..."

Był dzieckiem smutnej ziemi i nieszczęśliwego ludu... Wykołysały go żałosne pieśni bólu i tęsknoty tego pokolenia, co w zachodnią łunę wpatrzone ze czci dla gasnących blasków uczyniło swą religię. Ta wiara — ta bezwładna melancholja wspomnieniami karmiona — to była choroba wieku.

Rozumiał ją, — miał dla niej w głębi duszy rzewne współczucie, ale wiedział również, że naród który chce żyć, nie może pogrążać się w letargu wspomnień, zamykać w grobie tradycji.

Jak lekarz przy łożu chorego stłumił odruchy miękkiego sentymentalizmu, z zimną krwią niosąc mu lekarstwo bolesne — gorzkie lecz krzepiące—bezwzględną prawdę.

Ja chcę żyć! Ja żyć będę! mówiło młode pokolenie przez jego usta. Nie gasnące blaski lecz nowe świty przyświecać mi będą.

Dość już żałobnych pieśni na mogiłach! W kolebkach rodzi się nowe życie, trzeba je żywić, pielęgnować, rozwijać i krzepić. Życie wzywa nas do pracy. Zachwaszczone ugory, czekają pługa, na nowinach po wyciętym lesie karczujmy nieużyteczne pniaki zamiast żałować tych świętych dębów, co już runęły.

Ten głos trzeźwy, męski, donośny a śmiały ranił obolałe dusze. Bezbożnik! dla niego niema nic świętego! wołali. Ostrym rydlem kraje cmentarzysko naszych najdroższych wspomnień, wyrywa z korzeniem ukochane nasze tradycje, oskardem podważa zmurszałe kamienie, na których modlili się ojcowie.

I sypały się gradem na niego pociski oskarżeń, obelg, potwarzy z rąk czcicieli rodzimej, swojskiej tak bardzo *naszej* ciemnoty.

Nie zważał na nie — wytrwale pracował dalej, biczem ciętej satyry opędzał się tym, co go kamienowali, nie wiedząc co czynią. Przez miłość dla ukochanego chorego — był niemiłosiernym dla choroby. Obnażał rany, wycinał wrzody, wypalał zjadliwe pasożyty. Nie cofnął się przed żadną uświęconą powagą, nie zamilkł wobec najuroczystrzego zaklęcia.

I on zresztą oparł się o tradycję — ale o najwięcej zdyskredytowaną, najsurowiej potępioną: on — wróg szlachetczyzny miał odwagę wskrzesić stare szlacheckie „liberum veto" i uczynił z tego symbolu anarchji i rozkładu hasło nowego odrodzenia.

Wolno głosić prawdę, choć się ma przeciw sobie zwartą większość, ogół,jednomyślną (ach! jakże często bezmyślną) masę. Wolno mieć słuszność jednemu przeciw wszystkim! Dziś broni „praw mniejszości", wówczas walczył o wolność jednostki, a że ta jednostka była istotnie „posłem prawdy" więc dziś nie mniejszość już, lecz ogół składa hołd temu bojownikowi, wokoło którego przed laty skupiała się ledwie garstka nielicznych, ale gorących wyznawców.

Gdy znawcy i krytycy literatury szacować będą i analizować artystyczne klejnoty zawarte w jego utworach, gdy badacze prądów umysłowych rozstrząsać będą jego filozoficzne rozprawy — my, wychowawcy młodych pokoleń, sięgnijmy po najcenniejszy skarb, jaki nam przekazał. Najbardziej wykończonym, najbardziej jednolitym dziełem było jego życie. Przykład więcej uczy niż słowa.

Patrzcie, młodzi, na głowę tego patryjarchy postępu i uczcie się od niego, jak się walczy i zwycięża! Nie sądźcie, aby bez niebezpieczeństwa, bez narażenia się na potwarz i obelgi — można było głosić prawdę! Nie sądźcie, by można zdobyć zasługi bez ofiar, by od tanich hołdów i grzmiących oklasków można rozpocząć życie bujne, twórcze, w plony obfite! Bojowaniem jest żywot każdego przodownika. Tylko po bitych traktach roić się może wesoło jarmarczna ciżba; odkrywcy nowych dróg muszą na nich kaleczyć ręce i nogi.

Weźcie stare roczniki *Prawdy* i czytajcie Liberum veto! Co tydzień nowa potyczka, nowy, krwawy pojedynek z upiorami przeszłości! żywo padają razy: to ostra satyra biczem świśnie, to młot kruszy granitowe tamy reakcji, to dynamitowa mina wybucha i wierci w skale tunele. Lecą drzazgi, pryskają odłamy kamieni, żwir sypie się w oczy. Boli! boli! woła zgorszona ciżba pokaleczonych i sinymi pręgami okrytych. Zuchwalec! Ukarać go! Ale robota idzie dalej śmiało, wytrwale, nieprzerwanie.

Niezależna wiedza, wolność myśli, poszanowanie pracy, humanitarne hasła równości, sprawiedliwości jako podstawa nowej etyki—oto wytyczne punkty tych nowych dróg, jakie torowała dla nas ówczesna *Prawda*.

Po tych mozolnie bitych szlakach my dziś możemy już wozić ciężary — lub pędzić do odległych celów błyskawicznymi samochodami. Możemy wzdłuż nich rozstawiać armaty i ostrzeliwać się zwartym zastępom reakcyjnego barbarzyństwa, możemy wznosić strażnice i z ich szczytów odkrywać nowe do zdobycia przestrzenie. Możemy i powinniśmy.

Dziedzictwo otrzymane—obowiązuje.

Pod sztandarem tego, który całe życie wstecznictwo zwalczał—nie wolno nam stać w miejscu, lecz trza wciąż iść dalej i dalej...

Po tym poznają nas, że uczniami jego jesteśmy...

I. Moszczeńska.

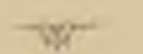
Siew i plon

Jeśli ludzkość ma iść naprzód, to synowie powinni przerastać ojców; ale muszą oni dużo przeżyć i przeboleć, utrudzić się drogą, nie na jednym kamieniu przydrożnym kroplę krwi serdecznej zostawić, nie raz zawrócić, lub tylko przystanąć w bezsilnym zwątpieniu, by przez te wzloty i upadki, przez rozkosze wspinania się i męczeńskie powroty dorosnąć do zrozumienia swych ojców — tych poprzedników, którzy niegdyś drogę im torowali, tych przeciwników, których nie oni pokonają, ale życie samo, gdy obalając ich, nad powierzchnię swoją ich wyniesie i na wzniesieniach pomników osadzi.

„C'est une loi dure, mais la loi supreme" — twarde, zaiste, prawo, że właśnie ci, którzy najgłębiej czują i najgoręcej miłują, muszą na swej drodze spotkać przedewszystkiem te ukochane siwe głowy, którym tyle mieliby do powiedzenia i tyle mają do zawdzięczenia.

Są zresztą wielkości, które zjawieniem swym zamykają pewien okres, a ogromem swym przywalają na długie nieraz chwile swobodny bieg życia; są to wielkie zatory, wkoło których zatrzymuje się fala i nawet z nimi nie walczy, ale jakby zwarzona hańbą swego poddania się, coraz mętniejszą się staje i gnić wreszcie zaczyna i trującymi

STARZEC I DZIECIĘ.



— I po co ty narodziłeś się?

— Żyć chcę.

— Żyć? Inaczej, mój maleńki, słowo to brzmi z kolebki, a inaczej z grobu. Ty je wymawiasz tonem nadziei, a ja — rozpaczy. A mój ton jest zwykłą pieśnią schodzących ze świata.

— Ile ludzi, tyle bogów, a każdy syn jest szczęśliwszym o całe doświadczenie ojca.

— Doświadczenie!... Gdybyśmy cierpieli jedynie za winy i błędy własne lub nawet za odziedziczony spadek grzechów rodzicielskich, wierzaj mi, że życie byłoby rozrywką. Ale ty musisz nieraz pokutować za to, żeś się narodził, że twoje piersi chcą oddychać tym, nie innym powietrzem, że twoje serce uderza silniej na ten a nie inny głos, że... Dziecię, nieświadome warunków ludzkiego istnienia, czy ty wiesz, że może barwa twej skóry lub zakręty twych włosów będą dla ciebie kiedyś źródłem utrapień!

— Czas postępuje a z nim wszystko, co on niesie w swym łonie.

— Zobacz rzekę: środkiem bieży jej nurt ciągle, ale na załamach stromych brzegów tworzą się wiry a po gładkich bokach nieruchome rozlewy. Tak płynie i rozwój cywilizacji. Nie marz, że będziesz pędził z tą falą, która szybko naprzód się toczy, bo ugrzęźniesz w stojącej łaszce, którą tylko powódź z głównym potokiem zlewa a zwykle ledwie czasem wiatr silniejszy jej powierzchnię pomarszczy.

— Można kręte brzegi wyprostować i wiry usunąć, można także przekopami do łachy ruch wprowadzić.

— Można? Taką niedorzeczną naiwność przebaczyć należy jedynie ludziom, którzy się dziś urodzili. Mów, że opukawszy ziemię, zbadałbyś, gdzie w niej tkwią źródła wulkanów lub zdrojów, mów, że z krzemienia wyrabiałbyś gąbki a z korka brzytwy, mów, że ze śniegu wyrzeźbiłbyś posągi a marmury wydął w balony, ale nie mów, że zawsze i wszędzie bez narażenia się na niebezpieczeństwo kij nazwiesz kijem.

— Przesadzasz, starcze, albo obrzydzasz sobie życie, ażebyś łatwiej mógł się z nim rozstać.

— O, biedne pisklę, nie przeczuwasz rozczarowań swej wiary, którą, jak wątły puch, poutracasz strzępkami, przedzierając się przez ciernie, aż dojdziesz do kresu nagi i pokaleczony. Niejeden przytym kolec oko ci rozedrze lub w serce się wbije. Mnie niczego nie żal. Jeśli cię los rzuci w głęboką otchłań i jeśli, spadając, odbijać się będziesz o jej twarde i chropowate ściany, zapragniesz wreszcie roztrzaskania głowy o jej dno. Taką zaś otchłanią jest zwykle życie.

— Dlaczegóż ludzie nie umierają bezpotomnie i rodzą dobrowolnie męczenników?

— Dlatego, że dzieci są zwykle owocami nieprzytomnych upojeń, zwierzęcych namiętności lub lekkomyślnej igraszki. Gdyby w płodzeniu ich uczestniczył rozum, ród człowieczy zmalałby do garstki zadowolonych swą tłustością karmników.

— Bluźnisz, ojcze, mózg ci schorzał.

— Stary mędrzec błogosławił bogów, że każdemu pozwolili pozbawić nas życia, a nikomu — śmierci. Powtórzysz to, zanim opadnie z ciebie ostatni zwój powijaka. Bo czy ty znasz swoją dolę? Ulicznik może stłuc szybę twego schronienia i wpuścić przez nią na ciebie rozwścieklony mróz, złodziej ci może zabrać poduszkę i podesłać swemu psu, morderca może ci zabić matkę dla zrabowania jej srebrnego medalika, możesz spłonąć w ogniu, zgnić w błocie — a struny sprawiedliwości, potrącone twym krzykiem,nie wydadzą najmniejszego dźwięku.

— Nad ludźmi nie czuwają już aniołowie, ale czuwają prawa.

— Dla siły gwałtu wynaleziono tylko prawa, które je tłumaczą, ale nie takie, któreby je nazawsze obezwładnić mogły.

swymi wyziewami, jak jękiem — znakiem swego rozkładu zasnuwa swe niebo i to wzgórze, które je unieruchomiło i zabiło.

Ale jednostki te oznaczają zawsze jakiś kres; bez potomności schodzą ze świata, grób ich otacza zwykle gromada płatnych pachołów, oczekujących chwili, by te kości sprzedać na relikwie a ducha przefrymarczyć na tanie prawdy cnót i ciężkie kajdany praw. Są to kwiaty, które więdnąc, nie sypią ziarn na nowy siew i, choć się tak mienią barwami, choć wonią swoją upajają, smutny ich los — bez jutra. Nowe życie kiełkuje już gdzieś w świeżo pękających ziarnach i w nich się znowu odrodzi, ale z tamtych, samotnie więdnących nic już w siebie nie weźmie i w nić swą już ich nie wplecie. Każde młode pokolenie zerwać z nimi musi i wyprzeć się krewieństwa z nimi,jeśli nie chce zmarnieć jak oni. Nazwiska pozostaną na pomnikach, ale dzieła ginąć zaczną w zapylonych skarbcach muzeów i bibljotek.

Bo trud daje conajwyżej prawo do pamięci, ale do życia potrzeba siewu i tylko siewu, a kto ciała i krwi swej nie odda na codzienne pokrzepienie przyszłego pokolenia, ten się w swych dzieciach nie odrodzi, ale też, kto tę świętą złoży ofiarę, temu życie samo plon gotuje w sobie.

Takim siewcą był u nas Aleksander Świętochowski.

Wystąpił on w chwili, gdy tłumione życie publiczne, pozbawione prawa do stanowienia o swym rozwoju politycznym i społecznym — w pracy kulturalnej szukało dla się ujścia i z siłą młodego zapału i gorącej wiary w lepszą przyszłość kruszyć zaczął te przeżytki form i pojęć gorsze od kajdan, bo nie dłonie, ale dusze skuwają one i krępują; całą tę spuściznę przesądu i błędu, co nakształt dziedzicznych obciążeń z grobu zda się wyciągać ręce po nasze zdrowie, po nasze życie.

Chwila, w której zjawił się Świętochowski nie posiadała nic z tej purpury, w którą dzień się stroi, gdy ma się ku schyłkowi i zachodząc już, ostatnimi najkraśniejszymi strzela blaskami... Była to chwila ciężka i mroczna, chwila przedporanna. Sto marzeń prysło, a nowe mógł zbudzić tylko brzask.

Ale Świętochowski był u nas pierwszym, który rzeczywiście zrozumiał tę prawdę, że brzaski wykuwać powinien naród z własnego łona i w nim tylko czerpać sił do nowych odrodzeń, a nie tęsknym wzrokiem błądząc po niebie i ziemi, szukać sobie możnych sprzymierzeńców raz za wysoko, to znów za daleko.

I to był najcenniejszy jego siew, który wzeszedł w najbliższym zaraz pokoleniu, bo wzejść musiał, bo był koniecznym następstwem biegu życia, bo w nim się począł i z nim razem rozwijać się będzie.

My, którzyśmy zaledwie dorastali, gdy Świętochowski obchodził pierwszy swój jubileusz, jasno — wyraźnie czujemy jeszcze w naszych duszach to, co jako siew jego weszło w nie i żyje i wiąże nas z nim, a pleniąc się i rozrastając, wystrzela wzwyż, idzie wszerz i wgłąb, i jeśli czasem szamocze się i prze naprzód, to nie, by wyrwać własne korzenie, lecz by walką tą dać dowód i potwierdzenie wyznawanej i głoszonej przez niego i przez nas idei postępu i rozwoju bez końca.

Mogliśmy go nie znać, a jednak jest on osobistym wspomnieniem każdego z nas; później od niego zaczęliśmy żyć, a jednak jest on wewnętrznym przeżyciem naszym, bo na każdym polu i na każdym kroku znajdujemy ślady jego ducha, który wszędzie tam już docierał, gdzie nasza praca dziś dalej wre: myśli wolnej torował on drogę, sumienia uczył sądzić samo siebie, zbierał i zbierać kazał te skarby wiedzy i woli, co ustom dają mowę, a mowie potęgę czynu.

Ale oto, gdy wola ta wezbrała i przemówiła nawet przez usta dzieci, Świętochowski zawahał się ją uznać... Czy dlatego, że był jej przeciwny? Nie i nie. Tylko że w tej chwili przewróciła się klepsydra czasu i dwie jakieś rozdzieliła godziny i dzieci oderwała od ojców. Była to chwila bolesna dla jednych i dla drugich, ale tylko krótkowzroczność nadać jej może cechy tragicznego zderzenia się dwuch sił, bo oko, które patrzy dalej, jedną tu tylko widzi, i chwilowym załamaniem się linji zwieść nie pozwoli a, wieków oczyma patrząc na fakty, rozumie, że czas potrzebuje pokoleń i wieków, by jedną pieśń dośpiewać do końca, że życie jednostki jest mu „jako jedna chwila” i że ojców i dzieci pogodzi kiedyś historja... ich zasług, ich siewów i plonów.

Stefan Gacki.

Ku gwieździe dalekiej.

(Kilka uogólnień z powodu „Duchów”).

Przestrzeń wszechświata wypełniały mgły szare, gęste, bezwładnie rozwieszone lub leniwym ruchem falujące, na których płynęły w wirowych obrotach olbrzymie kuliste bryły. Przenikała ją zmieszana z mrokami, blada, jak gdyby rozcieńczona i mętna jasność. Na jednej z owych brył, na ziemi, śród pełzających po niej oparów i skłębionych nad nią chmur, widniało światło, które otaczało dwie postacie — mężczyzny i kobiety”.

Tak się rozpoczyna „książka” Świętochowskiego, *jego* książka... Bowiem tym, czym dla Mickiewicza były „Dziady”, czym dla Słowackiego był „Król Duch”—tym dla Świętochowskiego jest jego wielki poemat wszechludzki, „Duchy”. W żywiołowym pędzie ku ostatecznemu celowi swych przeznaczeń, ku jasnej gwieździe naczelnej idei życia, twórca bogaty i hojny rozrzuca po drodze okruchy swych myśli i uczuć na karm wiecznie głodnej, nienasyconej chwili — ale jednocześnie zbiera skrzętnie i do

---

— Nie dręcz mnie, przekorny duchu, bo twych przestróg nawet nie pamiętam! Jeśli nie będę mógł zostać panem świata, zostanę jego żebrakiem — a jałmużnę mi da.

— Mylisz się — nie da. Czy sądzisz, że więcej od niego żądałem? Bynajmniej, nie pragnąłem, ażeby kapota moja była z jedwabiu, tylko żeby mi pozwolono załatać jej dziury, nie wymagałem nawet, ażeby moja torba była pełną, tylko żeby w niej leżał kawałek chleba. I tego mi odmawiano. Gdy pracowałem, oskarżano mnie, że zubożam innych, gdy śpiewałem po podwórzach pieśni, wypędzano mnie, oskarżając, że zakłócam spokój. Raz, usiadłszy przy drodze, zamyśliłem się. Ktoś podszedł, szarpnął mnie za ramię i pogroził: ostrożnie z marzeniami! — Ja spoglądam na księżyc — rzekłem. — I na księżyc tak długo patrzyć nie wolno.

— Śnisz, staruszku?

— Nie śnię, prawdę mówię... Przodkowie moi dostatnio żyli i nadużywali wszystkiego, bo nawet swej wspaniałomyślności. Dziad mój, dojrzawszy na niebie kometę, marzył na chwilę o lepszej doli. Ale ja nie, ja nie pragnąłem więcej od jaskółki: żeby gniazdo przypiąć pod ulubioną strzechę, w powietrzu nieco much złapać i przy strudze wody się napić. Szkodnicy gniazdo tykami zdrapywali a do mnie ciągle myśliwy dla nabrania wprawy strzelał. Tak, moje dziecię, byłem w żądaniach skromny, mniej niż skromny. Ale świat nie każdemu równą z innymi przestrzeń wymierzył. Jeden może oprzeć nogi o dwa bieguny globu, a drugi musi skakać, bo mu nigdzie stanąć nie wolno.

— Czyś ty rzeczywiście pracował, ojcze?

— Tak ciężko, że przez pory mojego ciała nie pot, ale krew przeciekała. Ale wtedy krzyczano, że w morderstwie zbroczyłem ręce. Musiałem kryć się lub uciekać. Gdy sadziłem drzewka, sąsiad ostrzegał: przycinaj, niech nie podrosną zbyt wysoko!...

— Kto?

— Każdy, kto nie lubi zagajników.

— Nie rozumiem cię, starcze. Mówisz językiem zagadkowym, tajemniczym, który skrzypi w ustach, jak chrzęst kości szkieletu, ale nie przekonywa.

— Zrozumiesz mnie, gdy sam umierać będziesz.

— Może — teraz nie. Teraz dziękuję ci tylko, że skargi swoje kreślisz jak czarnoksięskie znaki, dla mnie niepojęte. Gdybym je całkowicie odgadł, straciłbym nadzieję, która jest duszą dziecka.

— Zatrzymaj ją z życzeniem moim: bodajbyś tym samym wyrazem życie zakończył, którym je zacząłeś. Złudzenie daje odwagę. Najśmielej płynie przez morze ten, kto mniema, że spód okrętu jest dnem głębiny, a wiatry sznurami huśtawki. Zresztą, masz młodsze oko, więc może nim dalej widzisz. Przede mną rozpościera się tylko mrok, rozświetlany iskrami, krzesanymi przez zgrzytające lub żrące się zęby.

— A ja dostrzegam oddalone ogniska na ziemi i gwiazdy na niebie, których promienie padają na moją drogę.

— Dostrzegasz rzeczywiście?

— Tak. Ty mi je zasłonisz, ale nie zgasisz.

— Senny lunatyku, co się tobie majaczy. To ślepie wilka lub tygrysa, czatującego na zdobycz, zabłyszczały w gęstwinie. Ha, ha, ha, świat powinien codzień zmieniać ludzi, bo noworodkom dałby szczęście. Będziesz je miał, tylko nie zapragnij niczego więcej nad to, na czem poprzestaje kamień, który nie myśli i nie czuje, który dziś znosi uderzenia przejeżdżających kół, jutro tkwi w bruku chodnika, w progu kościoła lub bóżnicy.

— Kłamiesz!

— Umieram.

— A ja żyć będę.

— Musisz, bo chcesz.

— Skonał. Naokoło słyszę jakieś przyciszone głosy: on powiedziałby, że to groźne zmowy lub szemrania, a ja przypuszczam, ży to miłosne szepty. Lulu, lulu—ten świat jest piękny, lulu, lulu—świat rozkoszny, lululu, lulu—świat sprawiedliwy.

Okoński.

(*Al. Świętochowski*).

(„Prawda” r. 1884).

skarbca na siedem pieczęci zapartego chowa to, co stać się ma pokarmem dla człowieka wiecznego... Ze skarbca tego dobywa swoje jedyne, ostateczne słowo, słowo, które „jest czynu testamentem". Jeżeli co z tworów Świętochowskiego ma być „testowane w słowie" przyszłości, to nadewszystko „Duchy"...

Swiętochowski, jako poeta, nie jest zgoła „narodowym". Poemat jego zaczyna się w kosmosie, a rozgrywa na cząstce tego kosmosu — ziemi... Bohaterami jego nie są jacyś konkretni, historyczni bohaterowie — ale *duchy*, upostaciowane w mężczyźnie i kobiecie... Duchy jasne, przodownicze, „wędrowcy w przyszłość niezmierzoną", skazani na drogę bez kresu, „póki jedna prawda uciekać będzie przed nimi z zasłoniętym obliczem i jeden człowiek nie doścignie swojego szczęścia..."

Ta jest gwiazda daleka, kusząca ku sobie rozkochanego w niej miłością wieczną ducha poety — jedyna prawda i szczęście powszechne... Daleka, daleka gwiazda — tak daleka, że promień jej, kryształowo jasny, jak kryształ chłodnym być musi... Tylko orzeł na szczytach śnieżnych gór, wysoko po nad kwitnącymi łąkami dolin wijący swe gniazdo, dostrzedz i pokochać ją może... Ale gdy dostrzeże i pokocha — już go nie skuszą luciole przemijających uczuć świata, świetliki radosne nocy świętojańskiej — orle serce jego zamarło dla chwili, gdyż „ukochalo ciebie, o wieczności..."

. . . .

„Siostrą, która rodzi brata, jest noc, a bratem, który rodzi siostrę — dzień..." Biedna, biedna, potrzykroć biedna ludzkości... Przeznaczeniem twoim fatalnym jest ta jedyna prawda, którą wypowiedział Arjos... Ilekroć razy zwidzi się twoim przodownikom, że nareszcie rozpocznie panowanie syn nocy, dzień — „długi, ciepły, jasny, pogodny dzień — wojownicy nocy otaczają jezioro tego słodkiego marzenia, by na dnie jego pogrzebać tryumf słońca... Ale Arjos i Orla nie giną na wieki... Rod, Elion, Tor i Kres, „cztery białe, skrzydlate duchy", ujmują świetlane ich cienie i odlatują z nimi w przestrzeń... „Siostrą, która rodzi brata, jest noc, a bratem, który rodzi siostrę — dzień..." Zaś po okręgu tego koła wiecznego powrotu odbywa się owa nieskończona gonitwa za jedyną prawdą i szczęściem powszechnym.

. . . .

Życie rodowe, kierowane despotyzmem naczelnika plemienia przy pomocy kapłana-oszusta; powstawanie tworu narodowo-państwowego; pierwsze dni religji niewolnictwa; czasy ucisku pańszczyźnianego i rewolucji francuskiej — oto etapy tej walki dnia z nocą, tłumu zwycięskiego z wybranymi duchami Arjosa i Orli... Ruch okrężny tęsknoty ku prawdzie i szczęściu tworzy linję spiralną, wznoszącą się od bytu przedhistorycznego coraz bliżej ku dniom naszym.

. . . .

Do dna smutne są dzieje bohaterów Świętochowskiego... Jedyną osłodą ich doli ziemskiej jest wielka, nigdy nie gasnąca miłość, jaka łączy ze sobą w jedno te duchy wybrane... Z miłości takiej, jako owoc jej godny, rodzi się przyszły ród Arjosów i Orli... Rodzi się znowu na samotność i ofiarę, na nową gonitwę po okręgu koła... Poemat Świętochowskiego nie jest, nie może być skończonym... Arjos i Orla są z rodu tych duchów nieśmiertelnych, co Konrad i Król-Duch... Trwać będą dopóty dopóki trwać będzie ludzkość, dopóki nie zostaną wypełnione jej przeznaczenia... Jak życie Mickiewicza jest ostatnią częścią „Dziadów", tak życie Świętochowskiego jest ostatnim obrazem „Duchów... Twórca czynem własnym wypowiada ostatnie słowo poematu... Dlatego udziałem jego jest samotność...

. . . .

Nie znam ostatniej części „Duchów", której początek dopiero ukazał się w druku... Mam jednak przeczucie, że spiral poematu ostatnim swym pierścieniem otoczy bliskie nam dzieje... Mam przeczucie, że Świętochowski, który poemat swój począł w przestworach kosmicznych, ostatnią pieśń jego wyśpiewa dla najbliższego otoczenia... Że zechce oczy nasze, w mroku dnia dzisiejszego oślepłe, przyuczyć do patrzenia w tę gwiazdę daleką, uciekającą nieustannie w miarę zbliżania się ku niej... Bowiem, jeżeli nawet pieśń jego daleka jest od *nuty* narodowej, to poczęła się z *tęsknoty ku swobodzie...* Czytając jego poemat, spostrzegamy, że wzrok jego najdłużej zatrzymuje się na epoce niewolnictwa, odtwarzanej w różnych postaciach...

. . . .

Czy uczyni dobrze, jeżeli to uczyni?... Czy z pieśni jego weźmiemy pokrzepienie, weźmiemy nadzieję?... Zali ten cel daleki, postawiony w założeniu poematu, jest wogóle możliwy do osiągnięcia?... Czy poza księgą prawd tymczasowych istnieje gdzieś, w jakiejś błogosławionej krainie, ewangielja nowej, *ostatniej* nowiny?... Czy ludzkość otworzy ją i odczyta?...

Nie wiem... Nie wie zapewne i sam twórca... Natomiast wie jedno: „Gmachem ludzkiej wiedzy czas ciągle wstrząsać będzie i rozwalać go w gruzy, a najdrobniejszego uczucia serc ludzkich nie wzruszą wieki. Za tysiące lat, gdy wszystkie prawdy wiedzy runą, nie przestanie to być prawdą, żeś *cierpiał lub kochał*". Dlatego też Arjos w jednej ze znanych nam dotychczas części „Duchów" zwraca się do boga miłości z takimi, całą treść jego ducha ogniskującymi w sobie słowami:

— Eljonie, boże jedyny, daj sercu memu tyle miłości, ile jest w sercach ludzkich cierpienia!...

Leon Rygier.

Uczucie w twórczości Świętochowskiego.

Źródłem, z którego płynie wszelka sztuka i wszelka twórczość artystyczna, jest miłość.

Jakkolwiek będziemy badali sztukę, czy przystąpimy do niej uzbrojeni w szkła a priori powziętych tez, czy z prostotą i ciekawością nieuprzedzonego postrzegania, zawsze dojść będziemy zmuszeni do tego wniosku. Dziś zapewne nawet nie trzeba prawdy tej dowodzić, minęły dawne czasy zaciętych walk przeciwko uczuciu, kwestja należy całkowicie do historji. Do historji należy i ten spór, jaki przeciw uczuciu w sztuce i w życiu rozgorzał po roku 63-im. Do historji należą wołania o trzeźwość obozu „młodych", wołania w których pierwszy i najmocniejszy był głos Świętochowskiego.

Ale oto Świętochowski bojownik trzeźwości, pogromca romantycznego marzycielstwa, rozumny budowniczy przyszłości, — sam jest poetą.

Znowu akademicka kwestja: czy może być poetą człowiek gardzący miłością, człowiek, który zna tylko mądrość wielką, a nie zna i nie chce znać miłości wielkiej? — nie może, bo chociaż mądre i rozumne będzie jego słowo, choć będzie się iskrzyło jak błyskawica, to jednak będzie to jedna z tych błyskawic jałowych, z tych co nie zapalą ni stogu suchego siana w polu, ni wielkich pożarów zapału w pragnącym sercu człowieczym.

I oto sprzeczność, albo się jest poetą, a wówczas się nie gardzi miłością, albo się nią gardzi, a wówczas się nie jest poetą.

I kiedy się czyta Świętochowskiego, sprzeczność ta nie pozwala o sobie zapomnieć, narzuca się, przegląda z niezwykłą jaskrawością przez błyskotliwą powierzchnię słów i wytworną grę myśli, wreszcie ślizga się jak wąż pomiędzy kwiatami uczucia i cierniami rozumu i wężowymi magnetyzującymi oczyma patrzy wprost w oczy i stawia natarczywe, gwałtowne pytanie, którego nie można zostawić bez odpowiedzi: jak te dwa zamknięte ogniwa połączyć, lub: kto w tej walce zwycięzcą?

A jeśli natarczywie staje to pytanie przed czytelnikiem, przed tym obcym człowiekiem, który w każdym cudzym dziele szuka (jeśli szuka) przedewszystkiem siebie samego i tylko siebie, to ileż gwałtowniej musiało się ono wpatrywać w oczy tego, kto dzieła owe tworzył, jak głęboko musiało się ono wgryzać w jego mózg i w serce, w to samo serce zbyteczne i wypędzone, jak nierządnica wywleczone poza granice rozumnego sioła, schłostane i spotwarzone, a jednak żywe.

I tu się rozpoczyna i tu tkwi Świętochowskiego tragizm twórczy. Bo wszak on doskonale widział, on logiczny i konsekwentny, tę niekonsekwencję. Dlaczegóż nie usunął jej, dlaczego tak wiele miejsca dał w utworach swoich uczuciu i miłości, skoro za ideał stawiał sobie stoicką obojętność filozofa, wyrzeczenie się bezpośredniości marzeń i snów, trzeźwość spokojną, wolną od wszelkich rozognień uczuciowych.

Teoretyk—z chwilą kiedy rozpoczynał tworzyć, sam stawał wobec konieczności konfliktu z własną teorją, bo czuł, że tylko to ma w sobie żywą moc trwania, co zostało zrodzone z miłości, z uczucia. Budowle oparte na samym rozumie, będą może miały podziw budzącą kunsztowność, ale nie dadzą ciepłej przystani stęsknionym sercom człowieczym, zapomniane, niepotrzebne prędzej czy później staną się ruiną.

I oto od początku do końca w każdym utworze swoim mówi o miłości.

Czasami może po to, zeby znaleźć jakgdyby uzasadnienie teorji swojej, żeby do-

wieść, że niczego nie można na ziemi samą miłością dokonać, że wokrąg życie czyha na spaczenie i zniszczenie wszystkich miłosnych zabiegów, że w ciemnej otchłani człowieczego życia, toczy się ciągła i nieustanna głodna walka, walka o chleb, że ktokolwiek chce zejść ku ludziom z miłowaniem, rozszarpany będzie i zdeptany stopami głodnych tygrysów-ludzi; na błyskawiczny szlak opodal od ziemi i człowieka uciekać winna miłość.

A jeśli zejdzie na ziemię jak widmo nawet najpiękniejsze, najzłociściej malowane słonecznymi blaskami umiłowania, to wraz spotkać musi obok siebie idący cień, złe widmo podłości człowieczej i zbrodni, ohydy nietylko zewnętrznej, ale sięgającej w samą głąb' życia ludzkiego, skamieniałej, na żadne słoneczne promienie nie podatnej. I rozwieje się marząca miłość pod zimnym cuchnącym powiewem zła.

Wyrzec się zatym należy wszelkich marzycielskich ukochań, bo od nich nierozłączną jest siostrą nienawiść, wyrzec się uczucia nie kochać i nie nienawidzieć, owinąć się w swój płaszcz filozofa, baczyć skrzętnie, aby proch ziemi nie powalał jego białości i obojętnie z wielką wyrozumiałością mądrego pobłażania iść przez życie, ściślej ponad życiem i może po królewsku rozrzucać skarby swojego wielkiego rozumu, a może i nie rozrzucać, może dawszy się powodować pogardą „Alego" psom raczej niż ludziom dawać bogactwa swoje.

Nie jest to wszakże stały ton. Konstatowanie jałowości wszelkich miłosnych usiłowań, chwilami obojętne i objektywne—zbyt często i łatwo przechodzi w żal, w tęsknotę za tym, że nie jest inaczej. Pogarda obojętnego filozofa dla ciemnych sił życia przechodzi w smutek poety patrzącego na porażkę serdecznych wzlotów. Obraz się zmienia. Zamiast wpatrującego się w siebie jak narcyz poszukiwacza własnej, wolnej od jakichkolwiek z życiem łączników, jaźni,—widzimy Arjosa i Orlę, raz po raz ponoszących śmierć za miłość. A śmierć ta to nie zwykły rozkład i koniec życiowych usiłowań, śmierć ta to ofiara, wielka życiodajna, zapowiedź zwycięstwa tej miłości, w której imieniu została dokonana.

Arjos i Orla. Duchy. Możnaby powiedzieć, że jest to wielki poemat miłości. Przez wieki idzie ta miłość i walczy, zabijana, krzyżowana, zwycięska wszakże zmusza człowieczeństwo do przechodzenia tych tajemniczych siedmiu rzek i gór, co życie od Królestwa Bożego na ziemi dzielą. I trudnoby uwierzyć nawet, że tezę taką postawić mógł i rozwinąć człowiek który potępił marzenia! Wszak tu marzenie idealizował! Być może, że nie włożył w poemat tej siły uczuciowej, która włożona „jak nabój w burzące działo" i skierowana przeciw całemu światu, mogłaby świat ten w gruzy powalić. Zapewne Arjos — Zwiastun, z Chrystusa niewątpliwie początek biorący, nie dorasta do ewangielicznego prawzoru, niema w sobie tej mocy wielki zachwyt budzącej. — ale tego powód indziej już leży, wystarczy, że Arjos jest tym czym jest, że jest przez wieki pokutującym Duchem—Zwiastunem panowania miłości, że można byłoby w nim odnaleźć wyraźne pokrewieństwo z Królami—Duchami marzycielskiego i nawskroś samym uczuciem tchnącego romantyzmu.

Czemże się tak dzieje?

A to samo co w Duchach rozwinięte było w szeroki obraz dziejowy, w wielką syntezę walk życia, to samo w bardziej skondensowanych syntetycznych obrazach odnajdujemy w innych utworach Świętochowskiego.

Kamienny posąg Memnona dźwięczy, kiedy nań padną rankiem promienie wschodzącego słońca. Ale kamienny posąg Memnona ożywa i wówczas, kiedy go dotkną pocałunki małej, biednej, niemej Asbe. Żyję — mówi — „gdy czoła mojego dotkną promienie światła i miłości". I mała kochająca Asbe zdolna jest jednym pocałunkiem swoim dokonać takiegoż cudu, jak ten, którego dokonywa światłem swoim wielkie słońce. Zaiste potężnym jest czar pocałunku Asbe.

Ale najwyraźniej występuje ta dążność do zespolenia „światła i miłości" w bajce o dwuch filozofach.

Stary filozof Iros uprawiał swoją winnicę i kształcił ucznia swego Dinamosa. Pozatym nie obchodził go świat; obchodziły go grona winne i rozum ucznia, ale dusza Dinamosa nie była tak podatną, jak pień krzewu winnego i nie przyjmowały się na niej szczepionki starego filozofa.

„Daremnie Iros, przelewając myśli swoje do głowy Dinamosa, usiłował, żeby one w niej osiadły kryształami czystego, beznamiętnego rozumu. Dinamos roztapiał je w ogniu gorącego serca".

Więc widząc Iros płonność swojej pracy postanowił dać jej na pomoc owoce doświadczeń życiowych, wierzył, że uczeń jego zdobędzie w życiowym wędrowaniu tę samą beznamiętność, jaką on zdobył; — wysłał go w świat.

Wyruszył Dinamos i wrócił. Ale wrócił nie taki, jakiego pragnął Iros. Gorejąca w nim namiętność w zetknięciu z życiem nie wygasła, mocy nabrała tylko. Wrócił miłujący i pełen nienawiści i potępień.

I zasmucił się stary filozof widząc porażkę swojej mądrości. Zrozumiał, że musi ustąpić. Ostatni jeszcze uczynił wysiłek, wziął w obronę przed uczniem swoim tych, dla których tamten miał nienawiść.

Zgodzili się. I ze zgody ich wypłynęła teza tak bardzo bliska Chrystusowej: Miłość, sama tylko miłość wolna od wszelkich nienawiści i potępień.

Nie obronił zatym stary mądry filozof swojej obojętnej mądrości, odstąpił od swojej prawdy, przeto prawda stała się połowiczną, przestała być prawdą.

Kapitulować musiał stary mądry filozof.

Tu może jest rozwiązanie tej sprzeczności, jakąśmy widzieli od początku. Tu może tkwi odpowiedź Świętochowskiego na pytanie dlaczego on, mądry filozof, nie mógł nie tęsknić do miłości, nie mógł wygnać jej ze swojej poezji, dlaczego tworzył Duchy.

Ale bylibyśmy w błędzie, mniemając, że twórczość Świętochowskiego to tylko zbyt pośpiesznie rzucona doktryna i późniejstopniowe od niej odstępstwo.

Nie, doktryna była koniecznością, miała aż nadto powodów aby powstać i ukształtować się tak właśnie, a nie inaczej.

Bo wówczas, gdy mądry filozof Iros budował swoją teorję, wówczas kiedy Świętochowski poczynał głosić swoją apoteozę światła i rozumu, wówczas już żar serc był wystygł, pozostawało po nim tylko wspomnienie i dym. Filozofowie dawni otaczali się czadem tego dymu, patrzyli „w niebo, czy z jego szczytu sto słońc nie spadnie" i czekali spokojnie na przyjście Archanioła; wierzyli, napominając skrzętnie, że wiara bez czynów jest martwa.

I musiał Świętochowski, wówczas sam także do Dinamosa podobny, rzucić im potępienie.

Mądrość jego dążyła do tego, aby oderwać oczy od nieba, skąd słońca nie spadały i spaść nie miały. Uczynił to. Miast bowiem ufności w archanielską interwencję, szczepił prawdę wiary we własne siły; miast niepożądanych zastępów pospolitego ruszenia bez wodza — bo aniołów nie było — chciał pchnąć w szranki życiowe ćwiczoną armię, zbrojną w świadomość i wiedzę.

To uczynił i to jest wielka jego zasługa.

A cóż ta sprzeczność?

Ta sprzeczność to tylko zewnętrzny pozór. W głębinach duszy człowieczej przecudnie łączy się ona i zespala w wielki, jednolity, boski ideał. Sprzeczność tę wytworzyło tylko życie. Gdyby jej nie było, wszak stałaby już ludzkość u wrót ideału, a wiemy, że droga jeszcze daleka.

Jak człowiek, wspinający się na górski szczyt to jedną to drugą ręką chwyta wystające złomy, tak musi i ludzkość cała w przyszłość dążąca; a jeśli mu się udało jedną stopą na pewny złom stanąć, to nie znaczy, że drugą już utracił; nie, ma dwie i dlatego tylko może się posuwać.

W. Makowski.

Antyklerykalizm Swiętochowskiego.

Był wtenczas Zmierzch Bogów...

Zamilkła wielka Trójca romantyków, przebrzmiały echa hymnu Ujejskiego, świadka krwawych łun w Galicji; rozpłynęły się w przestworach dymy ofiarne ostatniej zawieruchy...

W cieniu bladych zórz północnych, na wezgłowiu ze skór reniferów, potomek bohaterów Olszyny śnił Dumy rozpaczne o złamaniu się Potęgi swej dostojnej Siły Ofiarnej...

A w szarej mgle milczących nizin Małopolskich i Mazowieckich, brat-bliźni ukochał Sen, „puch miękki pod głowę położył", i dumał, i śnił o zgasłej Potędze swej Siły, opartej głową Pychy o Bałtyk i stopą, w żelazo okutą, o brzeg burzliwego Pontu...

. . . .

Trwał sen o Potędze...

Trwała Noc Czynu, Myśli, Hasła!

. . . .

Łagodny głos wielkiego Cieśli, co jak poszumem srebrnych piór anioła rozkołysał Marzenie-Wiarę, iż Chrystusem narodów jesteśmy, rozmarzył wizję zwodną spełnienia się u nas jego słów: „Iżeście znużeni i obciążeni jesteście, ja was ochłodzę, ja wam przez Zastępcę mego przyślę mannę żywota do zasiłków w tę długą Noc tęsknego wyglądania świtu rezurrekcji Łazarza narodów".

Tymczasem ten Zastępca Chrystusa zalecił piołun cierpliwości, wzgardę życia, pokorę myśli, uległość wszelkiej mocy pogardę światła, nienawiść wiedzy, zaprzepaszczenie dumy człowieka, sztukę deptania jego praw, wyzysku nędzy, tolerancji zabobonu!

. . . .

I oto drgnął świt... Prysnął sen... Spłoszona zgraja czarnych kruków wszczęła wrzawę: Czyżby słońce miało znów przyświecać i spuszczać ciepło na skażoną grzechem ziemię? Czyżby zaczęło wypalać oczy nasze, przyzwyczajone do mroku Nocy? Czyżby pozwoliło grzesznym synom ziemi zajrzeć do naszego sanctissimum i dłonią świętokradzką wydostać tajemnice naszej zawodowej magji?

A oto z dreszczem rozkoszy budzi się ziemia — witając złote słońce...

Prysnął sen o potędze — ozwał się głos Mocy: do boju! do sprawdzenia naszych wartości!

Hasło: walka o prawa człowieka!

Cel: walka z ciemnotą i zabonem! Do słońca wiedzy dążmy, szukajmy Prawdy!

I przyszedł ku nam ów „Poseł Prawdy", przyszedł, jako słońce, gorący, piękny, i rzucił perły prawd—gorzkich i słodkich, bolesnych i radosnych, które, niby katapulty, rozbiły stare, spleśniałe mury...

katolickiego światopoglądu!

*

Pozytywizm, który, odrzucając metafizykę, wychodził z zasady, że wiedzy naszej są zakreślone granice, i że nie wszystkie wiadomości nasze są w równej mierze pewne, zaprzeczył *ipso facto* istnieniu maksymy teologicznej—że pewnym jest tylko to, co dało Objawienie, i że cały świat cudowności katolickiej każe uznawać drogi metafizyczne poznania.

Ponieważ Świętochowski i koledzy-pozytywiści wystąpili w pełnym rynsztunku nauki pozytywistycznej, — kler polski wydostał z szaf spleśniałe swe kolubryny: Arystotelesa, Augustyna i scholastyka św. Tomasza z Akwinu.

Ale już zabrakło Kościołowi polskiemu nietylko pisarzy kościelnych, lecz publicystów katolickich. Zresztą—zmienił się materjał, z którego katolicyzm werbował duszpasterzy. Potomkowie szlacheckich inteligentnych rodzin, nie mając na widoku dawnych prebend, tytułów i benificjów, przestali uważać stan duchowny za „dogodny" dla siebie. Chłopi z czteroklasowym wykształceniem wypełniają wakanse szkół duchownych. „Bóg, jak się pocieszali regensi seminarjum, obrał maluczkich świata tego, aby zawstydził mądre"—i dlatego Duch Św. zaczął na prostaczków zsyłać swe powołanie. Po wyjściu z seminarjum nowa gieneracja księży—nie poczuła w sobie ducha demokratyzmu pierwszych apostołów... Przylgnęli duszą do dworów, pałaców, do zielonych stołów i. . do mamony. Po roku 63 u nas, szczególniej na Litwie, — po konfiskacie kościołów, parochowie otrzymali olbrzymie parafje... Znam taką, która dawała 17 tys. rb. dochodu.

Można sobie łatwo wyobrazić,—jak nisko stała kultura takiego proboszcza, który, gdyby nawet chciał nad sobą pracować — nie miał na to czasu. Szczególniej ksiądz Litwy, Wołynia i Żmudzi. Mając 10 tysięcy parafjan — paroch, o ile był sumiennym wykonawcą obowiązków, nie opuszczał bryki lub konfesjonału. Prawda — położenie księży z korony było nieco pod tym względem lepsze; ale i tu martwota procji wpłynęła na zgnuśnienie ducha. Świetny stan materjalny kleru popowstańczej epoki — wytworzył gnuśność, skąpstwo i pretensje do praw na wyłączne *przywileje*. Parafjanie uwierzyli księdzu, że on jest opoką, o którą się rozbiją zakusy wrogów. Uwierzyli, że świątynia, rozhymniona modlitwą w języku łacińskim, przechowa język ojczysty, któremu, zdaniem księdza, groziła zagłada w razie, gdyby katolicyzm i papizm zostały wyplenione z serc Polaków.

Polak-katolik, — oto okrzyk, stary coprawda, ale—w epoce pozytywizmu, często powtarzany, *specyficznie narzucany* przez księdza katol. Ksiądz nie ufał sympatji narodu ku obrzędom i dogmatom, nieudolnie bronionym, ale rachował na jego uczucie narodowe, na sentyment ku kochanej wierze praojców. Stał za wyrazem: Polak, jak za wałem obronnym, i z poza tego wału rzucał mroki w dusze prostacze, krzewił nienawiść rasową, tworząc antysemityzm, bronił agonję papizmu, manewrował nawet z „niedowiarkiem", mówiąc na ucho: „pan nie zdradzi ojczyzny gdy msza będzie i w obcym języku, pan nie ukradnie; a ja czym chłopa utrzymam? Nareszcie w początkach ostatniego 10-lecia XIX w., nierzadko spotykaliśmy i pozytywistę, który mawiał: „zostawmy plebanję w spokoju".

Walka Świętochowskiego z kościołem— to walka nowego, *naukowego światopoglądu* ze starym *rzymsko-katolickim* światopoglądem.

Walka dwuch światów: Arymana z Ormuzdem! Mroku i Światła! Nieuctwa i Wiedzy!

U nas nadto rozwinął się katolicyzm, — *spoganizowany*, łączący sprawę religijną z nacjonalistyczną, dla celów swego panowania nad niekulturalną masą ludu. Forma, obrzęd,—stały się treścią życia religijnego wierzących Polaków-katolików. Przez nie Kościół suggestjonował umysły w kierunku negacji wszelkiego dorobku samodzielnej myśli. On nie zadowalał się urzeczywistnieniem gmachu swych złudzeń w sercu wierzących katolików, jako *wewnętrznej*, czysto subjektywnej pewności, lecz chciał narzucić go, jako *zewnętrzną*, objektywną pewność, jako bezwzględną prawdę, jako powszechne prawo życiowe całej ludzkości,—i to chciał narzucić gwałtem. Świętochowski, o ile był może subjektywnie religijnym, nie mógł akceptować *zrzeszeń*, czyli wyznań, nie mógł tolerować formy, *nakazującej* wierzenia subjektywne ludzi podporządkować pod jeden mianownik; stąd płynie jego bezwyznaniowość, a z nią nienawiść Kultu wyznaniowego, jako czynnika krzewiącego, zaciętość fanatyków i manjaków religijnych.

Ponieważ *kler* z większą energją krzewił formy Kultu, niż uzasadniał jego podstawy dogmatyczne,—Świętochowski zwrócił ostrze swych ataków nasamprzód przeciwko zabobonnym praktykom ludu, tolerowanym przez ciemnych parochów. Karcił zdzierstwo, chciwość, cynizm, niewolnictwo ducha księdza—służalczą jego postawą wobec Rzymu. Kościół katolicki, jako zrzeszenie wyznaniowe,—kosmopolityczne, zaborcze, konserwatywne; Kościół, jako instytucja skrzepła, przeważnie aspołeczna, krzewiąca mrok, nienawiść—służąca widokom i interesom ramienia potęg doczesnych—musiał stać się wrogiem tak kulturalnej duszy. „Twarda i burzliwa skała, powiadał Świętochowski, Kościół katolicki, jak wszystkie skały wietrzeje, a od czasu do czasu pęka i obłamuje się".

Istotnie: podstawa Kościoła—papiestwo, szuka ratunku... w dyplomacji, ogłasza dogmat nieomylności, wydaje Syllabus, w którym czytamy: „Z postępem, liberalizmem, nowoczesną cywilizacją nie podobna wejść w pojednanie". Tenże Syllabus, potępia wolność badania, swobodę sumienia, tolerancję, — zaprzecza najnowszym zdobyczom nauki i w ten sposób grzebie nietylko resztę tradycyjnej inercji wiary w nieomylność papieży, lecz wywołuje oburzenie każdej myślącej duszy.

Świętochowski z pozytywizmem przyniósł do Polski ducha analizy składowych czynników przeżywającego swe formy wyznania: pojęcia Boga, kultu i moralności. Miast katolickiego Boga grozy i pomsty przez Namiestnika w Rzymie—mówił o Bogu Miłości — królującym w sercu człowieka. Fanatykom, składającym z umartwienia ciała i życia słodką Niebu daninę — mówi: „Tylko okrucieństwo ludzkie wymyśliło dla niego kadzidło z krwi i dziękczynienia z jęków". Moralistom-teologom, opierającym etykę człowieka na objawieniu *niezmiennych* praw lub norm etycznych, przeciwstawia naukę o *powstawaniu praw moralnych*! Jeżeli moralność zmienia się i doskonali, pocóż mamy uważać ją za tajemnicę i świętość, kiedy przeciwnie na tym zależy, by uczynić z niej prawdziwą naukę, powstałą, jak każda wiedza, z obserwacji i doświadczenia, którą trzeba ulepszać nieustannie i prowadzić świadomie na drogę postępu...

Ale... taka moralność spotyka na drodze—teologję i metafizykę...

Praca „O powstawaniu praw moralnych" (1874) wypełnia miarę nienawiści kleru warszawskiego ku autorowi. Dotąd ksiądz bronił się nieudolnymi zlepkami z dzieł OO. Kościoła. Od chwili zjawienia się tej monumentalnej pracy—pozostaje mu jedyna broń: argumenty ad hominem i wymyślania samej ordynarnej formy.

I kler nie zmienił taktyki wojen pomiędzy Zulusami... Młoda zaś gieneracja... poszła za mistrzem... Wyżyny myśli Świętochowskiego, coprawda, nie były jeszcze dostępne dla warstw ludowych. Ale młodzież już rozpoczęła weryfikację swych ideałów etycznych, społecznych i religij-

nych. Ulegając urokowi kierownika—poznała Darwina, Boucle'a, Spencera, Milla, słowem *przekształciła* swój światopogląd, pożegnała scholastykę i teorje „wielebnej ciemnoty". Wytworzyła się nowa formacja społeczna inteligiencji, racjonalistycznie ukształconej, opornej zakusom zabobonu i księżej perfidji.

* *

Zasady etyczne człowieka wpływają przedewszystkiem na stosunek jego względem idei prawa, normującego życie społeczeństw. „Nad ludźmi, powiada Świętochowski, czuwają już nie aniołowie, ale czuwają *prawa*!

Prawo! *Prawo człowieka*—oto wewnętrzny *ignis ardens* Okońskiego, który przepalał każdą myśl jego w okrzyk: „O bądź przeklęte bezprawie, co rzucasz ludzi na pastwę, jako rzecz bez pana"! (Makary). „Nie należy tłumaczyć ustaw Boga na męczarnie ludzi"! „Ze wszystkiego, co mi się od ludzi należy, najbardziej strzegę moich praw człowieczych"! (Idem).

Praw człowieczych! Umiłował je Świętochowski do tego stopnia, że domagał się i *dla księdza*, krzewiciela wrogich mu idei, praw człowieka! (w ks. Makarym i Reginie). Ksiądz Makary kochał, *miał dzieci*. Miłość ojcowska staje się dlań szczęściem, a zarazem udręczeniem, krzyżem życia! On niema prawa powiedzieć światu o dziecku! Gdy mu może córka moralnie zginąć, — upokarza się, aby ją uratować... Wybucha gorącą prośbą: „Spraw, Panie, azebym tylko w niebo wierzył i tylko niebo kochał"! Patrzy w książkę, czeka.. I rzuca z rozpaczą: „Nie... Nieme znaki!" O męce ojcostwa mówi: „Są męczeństwa, z których każde wystarczyłoby Bogu do obdzielenia winnych karami na wieczność całą". „Ludzie dumnie mówią: mam syna, to nasz! — bo ty nie wiesz, co to mieć dziecko"!

Tak Świętochowski uderzył w *celibat*. Była to jedna z najśmielszych rękawic — rzuconych społeczeństwu, które uważało bezżeństwo za podstawę moralności księdza.

„W związku całego życia, powiada ks. Makary, ślub jest tylko jego drobnym mgnieniem"! Ale motłoch nie rozumie miłości ojcowskiej kapłana: „Mnich, który wiecznym katowaniem się zasługiwać musi na ludzki szacunek, przewodnik klasztoru, który dewocją cudze dusze podpalał — niech, zgrzeszywszy ojcowstwem, schroni się nawet przed gwiazdami, które na jego kłamstwa patrzały, bo i te grozić mu będą"...

A Watykan? Jakże — jego gadzinową, względem nas politykę demaskował „Poseł Prawdy" w publicystycznych artykułach i dramacie „Regina"! Watykan zakłada misje, które rządy: niemiecki, francuski i inne uważają za forpoczty zaboru i handlu niewolnikami. Ksiądz Makary krzewi religję miłości wśród dzikich... Ale... przybywa jezuita wizytator-kardynał i tak przemawia: „Uznaję jedno tylko państwo — kościół; jedną władzę—papieża.. na którego Bóg zlewa swoje natchnienia". „Czy między potęgami świata można wskazać zaszczytniejszą dla należących do niej jednostek, niż Kościół". „Ojciec Św. przyjmuje od pielgrzymów *dary i pieniądze*, — on miljony zbiera, ale miljony karmi!" (!?)

Symonja, — zdzierstwo, handel dewocjonaljami — wyzysk narodu naszego przez papiestwo — wszystkie te plugawe funkcje gasnącego słońca Tjary były piętnowane przez pozytywistów i jego wielkiego inspiratora. I czas już było, — wielki czas rozpocząć porachunki z instytucją i korporacją, która zawsze pozostanie wrogiem postępu, rozwoju praw moralnych, reorganizacji ustroju społecznego, stosunku pracy do pracodawcy, niezależności sumienia od uroszczeń zakrystji!

* *

Świętochowski przygotował pokolenie do nowej walki z klerem, którą sam około r. 1890 dla pewnych względów złagodził. Dzieci pozytywistów, wzbogaceni nowym dorobkiem: — poznaniem Nietzschego, oraz ostatnich zdobyczy z dziedziny orjentalistyki, rozpoczęli na nowo *rewizjonizm religijny*, — skonstruowany w bardziej nawet metodyczny atak, niż przed 40-u laty. Pomimo pozornie wzmożonej reakcji kleru, — pomimo wrzaskliwego aljansu księży z robotnikami, z narodowcami, pomimo kompromisów tych ostatnich z sutanną ze względów „wyższej polityki", — nawet wśród kleru zapanowała potężna dezorganizacja: marjawityzm, szechizm, „koty", demokracja chrześcijańska i... kwiatek — Związek katolicki. Ten zamęt w kościele polskim świadczy o jego wyczerpaniu się...

Pozytywizm przez negację kultu, przez rekonstrukcję pojęć etycznych, i zdarcie aureoli z papiestwa — położył granity pod świeży prąd wolnej myśli.

Ta ostatnia nurtuje już nietylko wśród wybrańców, jak za świtu pozytywizmu, — lecz się przedostaje do warstw, które ongi słuchały tylko księdza, pana i... bata..

Rewizjonizm religijny, — na całej linji!... Rewizjonizm spokojny, metodyczny, idący już nie samopas, — lecz zgodnie z pobratymcami, a nawet — z wolnomyślicielami Francji, Niemiec i Włoch...

Młoda Wolna Myśl polska — urodzona z posiewu pozytywizmu, kroczy może bardziej stromymi ścieżkami, niż pozytywna myśl Świętochowskiego i jego współkolegów pracy, ma inne metody walki, — ale walczy dalej z tymże wrogiem — który, przed kapitulacją Ciemnogrodu, — rzuca ze starych murów ostatnie stępiałe stare strzały...

I wciąż jeszcze na murze Ciemnogrodu— widzimy napis: Roma locuta, causa finita...

A na forpocztach armji oblężniczej — szumią proporce: Precz z Rzymem!

Są to ci, co uważają siebie za duchowych spadkobierców dzisiejszego Jubilata...

Duch twej zasady, Aleksandrze Świętochowski, — „Prawo człowieka!" — to nasz stygmat, a twoja wielka cząstka w Nas!

Cześć Ci!

Antoni Miller.

Ze wspomnień moich stosunków z dawnym redaktorem „Prawdy"

Było to na Starym Mieście, w wigilję Nowego Roku. Uderzyły dzwony, a szczególnej popijarski, który smętnym dźwiękiem głosił zamierzchłe z czasów szwedzkich dzieje. Grobowym zawodzi jękiem, wspominając chwile, gdy Sas i Leszczyński ubiegali się o koronację w katedrze. Niebawem atoli ton, dotąd żałosny, zabrzmiał poważnym uroczystym akordem, zwiastującym o przysiędze króla, mężów sejmu czteroletniego i mieszczan na konstytucję 3 maja. Umilkły dzwony.

W klepsydrze przesunął się piasek z jednego do drugiego korytka. A więc to rok 1908! Sięgnąłem pamięcią, jak w kalejdoskopie przesunęły się rozmaite postacie, między którymi wyróżniała się proroczym jakimś wejrzeniem sylwetka p. Aleksandra onego nieustraszonego bojownika praw ludzkości, a dziś zasłużonego jubilata. Ujrzałem go po raz pierwszy w skromnym lokaliku *Nowin*. Włożył on tam lwią część swojej pracy. Niebawem czytałem prospekt *Prawdy*. Udałem się do redakcji z pierwszym artykułem, który życzliwie został przyjęty. Odtąd dzierżyłem tam długie lata pióro, pisząc życiorysy znamienitych uczonych słowiańskich, sprawozdania z literatury czeskiej i recenzje historyczno-lingwistyczne. Stosunki nasze były niczym niezamącone. Jakaś nić sympatji tajemnej łączyła nas węzłem nierozerwanym. Tą nicią była miłość postępu, miłość płomienna, która miała zapalić światło, rozwidniające drogi wiodące do stolicy, gdzie wśród ognistych promieni zapanowały trzy siostrzyce: *Prawda, Piękno i Miłość.* Pierwsza wielka swoją czystością, odzwierciadlająca się w przezroczu kryształów, druga wyraziła swe lico w ubóstwieniu człowieka, niegdyś kultu Ateńczyków, którzy w kobiecie uznali piękno wcielone. Miłość, to czarodziejka, która łzy zaklęła w róże, zawsze świeże. P. Aleksander, widząc w kobiecie piękno i miłość, rozkuł jej kajdany i wspaniały jej posąg postawił na piedestale, z którego jak geniusz ludzkości prostować będzie potomnym nowe ścieżki, wiodące do odrodzenia w prawdzie przez miłość i skojarzone z nim piękno.

Zmieniły się czasy, przeminęły lata, włosy pokryły się szronem, a jednak p. Aleksander wytrwał na placu boju, bo mimo sędziwych już lat, nie zaparł się swoich ideałów, gdy inni zwinąwszy chorągiew, za srebrniki Judaszowe zaprzedali się wstecznictwu, będącemu wyrazem samolubnej nienawiści, posiłkującej się bronią fałszu i oszczerstwa. Był to rzadki redaktor. Mąż niepospolitej nauki, w humaniorach biegły, umiał ocenić nadesłany do redakcji artykuł. Historja, Filozofja, Lingwistyka i t. p. nieobce były dlań nauki. Skojarzyły się w w nim dwie natury: uczonego i artysty. Język jego bogaty, żywy, gdzieniegdzie przeplatany archaizmami, stawał się przez te przymioty jędrnym, a więc męskim.

Wytworzył on z spółpracowników *Prawdy* cały zastęp stylistów. Nie nazwisko autora, lecz jego nauka, talent coś ważyły u niego.

Kończąc to krótkie wspomnienie, pocieszam się myślą, że ziarno, rzucone przez czcigodnego jubilata w naszą ziemicę mazowiecką, nie zaginie i bujny, obfity w przyszłości wyda plon, który chętnych, bo oświeconych znajdzie żniwiarzy.

Justyn Feliks Gajsler.

„Prawda” Al. Swiętochowskiego i językoznawstwo.

W chwili, gdy zewsząd pracownicy pióra i myśli spieszą złożyć hołd uznania Al. Świętochowskiemu, niechże i ze szczupłego grona językoznawców polskich odezwie się głos wdzięczności za nieskazitelną czystość języka pisarza, za wzorową poprawność jego pięknej i jędrnej polszczyzny. Pielęgnował on czystość mowy rodzimej zawsze i wszędzie, nie tylko w pracach własnych, lecz również dbał o nią, jako kierownik pisma, świadomy swoich obowiązków. Nie dał się nigdy powodować płytkim przesądom, które w swoim czasie kiełkowały u nas, wobec których poprawność języka była czczym wymysłem „gramatykarzy”, dowolnym widzi mi się purystów, jednym słowem sprawą, pozbawioną rzekomo podstawy naukowej... Owszem, współczesne językoznawstwo uznając, że właściwości językowe są zjawiskami społecznymi, pewnym układem (systemem) obowiązujących zwyczajów, tym samym przyjmuje, że poprawność języka jest *etyką* językową, tak samo, jak piękność mowy jest jej *estetyką*.

Otóż Al. Świętochowski, który, jako myśliciel, badał początek praw etycznych wogóle, nie mógł być obojętnym na prawa etyczne języka, jego poprawność. Ale nietylko w dziedzinie etyki i estetyki językowej położył zasługi Al. Świętochowski. Posiadał on poważne wykształcenie filologiczne: świadczą o tym jego utwory, osnute na tle stosunków klasycznych. I właśnie to wykształcenie nie pozwalało mu lekceważyć dziedziny pokrewnej z filologją — nauki o języku, powszechnie niedocenianej u nas. To też Al. Świętochowski był może jedynym w kraju redaktorem, który w piśmie swoim chętnie udzielał miejsca rozprawom i sprawozdaniom z zakresu językoznawstwa. Wprawdzie sprzyjał temu i szczęśliwy zbieg okoliczności, osobiste stosunki redaktora z trzema wybitnymi pracownikami na polu językoznawstwa u nas: ś. p. J. Karłowiczem, prof. J. Baudouinem de Courtenay i Ad. Ant. Kryńskim. Z pod pióra tych badaczy językowych *Prawda* zamieściła wiele cennych rzeczy o językoznawstwie polskim i ogólnym. W ten sposób *Prawda* i w tej dziedzinie wiedzy, jak w tylu innych, przyczyniała się do zwalczania obojętności ogółu, jego uprzedzeń względem nauki, do szerzenia światła i zdrowych pojęć wśród czytelników.

Niechże więc i ta zasługa jubilata, drobna w porównaniu z innymi, nie będzie zapomniana...

Karol Appel.

JUBILEUSZ A. ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

Sobota dnia 10 paźdz. otwarcie zjazdu w sali Techników o godz. 8-ej wiecz. Niedziela dnia 11 paźdz. zebranie sekcji literackiej w wielkiej sali Filharmonji o g. 2-ej pp.

Odczytanie odezwy Al. Świętochowskiego; Przemówienia delegacji od Stowarzyszeń, Związków i Instytucji społecznych; Odczytanie telegramów; Wygłoszenie wiersza Konopnickiej i referatów w następującym porządku:

Znaczenie Świętochowskiego dla kultury polskiej—Ignacy Grabowski. Bajki i opowiadania Al. Świętochowskiego — Ignacy Matuszewski. Ideja i artyzm Duchów Świętochowskiego—Józef Kotarbiński. O Świętochowskim myśli kilka, Świętochowski i Chawa Rubin — Leo Belmont. Kobieta w dziełach Świętochowskiego — Zofja Rygier-Nałkowska. Świętochowski jako publicysta — Tadeusz Ulanowski.

Wieczorem w tejże sali sztuka Al. Świętochowskiego „Ojciec Makary”. Poniedziałek dnia 12 paźdz. I zebranie sekcji społecznej w wielkiej sali Filharmonji o godz. 2-ej pp.

Odczytanie referatów następujących:

Aleksander Lednicki — Al. Świętochowski w oświetleniu społeczno politycznym. Wacław Męczkowski—Działalność Al. Świętochowskiego w Towarzystwie Kultury Polskiej. Zofja Golińska-Daszyńska — Przyszły ustrój rodziny. Wacław Nałkowski — O reakcji. Iza Moszczeńska—O organizacji Towarzystw Kulturalnych. Stanisław Kempner—Kultura i kwestja społeczna. Eugienjusz Sokołowski—Świętochowski jako żaden budowniczy społeczny. Antoni Miller — Antiklerykalizm Świętochowskiego.

Wieczorem w Teatrze Wielkim „Aspazja” A. Świętochowskiego. Wtorek dnia 13 paźdz. II zebranie sekcji społecznej w wielkiej sali Filharmonji o godz. 12 w południe.

Odczytanie referatów następujących:

Ludwik Kulczycki — O kwestji rusińskiej. Ludwik Krzywicki — Zadania naszego społeczeństwa. Norbert Pinkus — Metody polityki socjalnej. Feliks Bogacki — Myśli o równouprawnieniu narodowości. Paulina Kuczalska-Reinszmidt — Równouprawnienie kobiet jako czynnik postępu i demokratyzacji. Aleksy Kurcjusz—Kwestja Żydowska.

Wtorek dnia 13 paźdz. zebranie sekcji oświatowej w sali Muzeum Przemysłu i Handlu o godz. 4-ej pp.

Odczytanie referatów następujących:

R. Nowakowski—Obecny stan szkolnictwa ludowego. Chorowicz — O brakach oświaty ludowej. W. Weychertówna—Normalne podstawy oświaty ludowej. A. Szycówna—Jaką szkoła być powinna. W. Jezierski — O stosunku wykształcenia fachowego do ogólnego. I. Moszczeńska — O zadaniach uniwersytetów ludowych. T. Nocznicki — O potrzebie wykształcenia fachowego rolniczego. M. Malinowski—O szkołach rolniczych. G. Danysz—O budżecie projektowanej szkoły imienia Al. Świętochowskiego. Z. Pietkiewicz—Stosunek Al. Świętochowskiego do ludu.

Po zamknięciu posiedzenia sekcji szkolnej, w salach gmachu Techników wspólna uczta pożegnalna dla uczestników Zjazdu.

Adres Komitetu Jubileuszu Al. Świętochowskiego Zgoda 8 m. 9, telefon 73-88.

Z CHWILI.

Na cześć Aleksandra Świętochowskiego teatry warszawskie zapowiadają przedstawienia galowe: Teatr Mały pod głównym kierunkiem p. Marjana Gawalewicza zapowiada na niedzielę dnia 11 b. m. w wielkiej sali Filharmonji sztukę Jubilata „Ojciec Makary” z obsadą ról następującą:

Ojciec Makary — p. Staszkowski.
Regina — p. Pytlińska.
Cecylja — p. Dulębianka,
Aureli — p. Szarski.
Ksawery — p. Lipczyński.
Melanja — p Dobrzańska.
Jacenty — p. Butkiewicz.
Antoni — p Bratkowski.
Marja — Woronicz.
Sługa szpitalny — p. Łuczak.

Teatr Wielki uczci Jubilata wystawieniem w poniedziałek dnia 12 b. m. Jego sztuki „Aspazja” pod reżyserją p. Kazimierza Kamińskiego. Afisz zapowiada obsadę następującą:

Aspazja — Helena Marcello Palińska.
Elpinika — Aleksandra Lude.
Diotima — Felicja Pichorówna.
Egina — Helena Rolandowa.
Filezja — Mira Orczyńska.
Terra — Marja Hertzowa.
Nora — Teofila Szymanowska.
Matka Aspazji — Alojza Żółkowska.
Lea — Antonina Junosza.
Niewolnica Aspazji — Katarzyna Zbikowska.
Niewolnica Era — Adela Millerówna.
Perykles — St. Knake Zawadzki.
Anoksagoras — Wincenty Rapacki.
Tidjusz — Seweryn Nowicki.
Protagoras — Józef Kotarbiński.
Ksantypos — Teodor Roland.
Archont — Bolesław Leszczyński.
Sokrates — Antoni Bednarczyk.
Traks - niewolnik Aspazji — Władysław Szymanowski.
Hermipos — Ludwik Wilczyński.
Kapros — Paweł Owerłło.
Tucydydes — Władysław Paliński.
Cymon — Marjan Prażmowski.
Diofites — Józef Mikulski.
Sofokles — Bolesław Ładnowski.
Kalios — Władysław Wojdałowicz.
Eurypides — Piotr Hryniewicz.
Starzec — Henryk Kawalski.
Obywatel ateński — Jan Karpowicz.
Metronomos — Antoni Różański.
Jeden z biegłych — Henryk Grabiński.
Jeden z gromady—Wojciech Brydziński.
Drugi „ — Stanisław Bretsch.
Trzeci „ — Bol. Mierzejewski.
Menon — Leopold Zbucki.
Niewolnik Peryklesa — Zygmunt Telatycki.

1	obywatel	Władysław Krogulski.
2		Stanisław Ratowski.
3		Wiktor Rakowiecki.
4		Antoni Thiel.
5		Jan Chądzyński.
6		Józef Świeściak.

Jeden z sędziów—Franciszek Dąbrowski.
Obywatele ateńscy, lud, sędziowie, orszak Elpiniki.

Rzecz w Atenach.

Wydawca: Wincenty Biskupski. Redaktor: Roman Nowakowski.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.